



Mirosław Derecki (M.D.)

## EKRAN I WIDZ: MROK NAD WESTERNEM

W dwa dni po Charlesie Chaplinie zmarł Howard Hawks. Był również jednym z „wielkich” Hollywoodu, chociaż nie wznosił się nigdy na takie wyżyny sztuki filmowej jak Charlie. Pisano o nim, że jest znakomitym rzemieślnikiem, że „*prochu nie wymyśli, ale robi znakomite (...) atrakcyjne utwory, które są „nieglupie”*”. Był jednym z klasyków westernu, kręcił filmy lotnicze, morskie, gangsterskie, nie umykał także komedii: pamiętamy jego „Małpią kurację” czy „Mężczyźni wolą blondynki”. Sięgał do tematów historycznych jak choćby „Ziemia faraonów”.

Najbardziej jednak lubił filmy z gatunku tych męskich, gdzie odwaga ociera się o szaleństwo. Życie i śmierć często chodzą w parze, prawdziwi ludzie sprawdzają się w sytuacjach krańcowych, a dobro zawsze w końcu triumfuje nad złem. Może, dlatego w późnych latach swojego życia poświęcił się ostatecznie westernowi. Kiedy miał sześćdziesiąt trzy lata nakręcił niezapomniane „Rio Bravo”, w osiem lat później „El Dorado” - stosunkowo niedawno wyświetlane na polskich ekranach – wreszcie, kiedy już znacznie przekroczył siedemdziesiątkę, zrealizował „San Timoteo” i „Rio Lobo”.

Odszedł w wieku osiemdziesięciu jeden lat do krainy wiecznie zielonych prerii pozostawiając dorobek w postaci 43 filmów! Mógł poszczycić się, że do ostatnich chwil nadążał za nurtem współczesnego życia. Kiedy Charles Chaplin pędził odosobnione życie w wielkich filmowych wytwórniach realizując swoje najlepsze filmy.

Jeszcze w wydanej w ubiegłym roku książce „Mistrzowie kina współczesnego” wybitny polski krytyk wśród wielu twórców młodego i średniego pokolenia, których nazwiska wyznaczają ważniejsze tendencje kina naszych czasów - umieszcza szkic poświęcony Howardowi Hawksowi. A przecież Hawks to zarazem prawie historia kina! Był tylko o pół roku młodszy od kinematografu, urodził się w maju 1886 r. Wzrastał w czasach narodzin nowej sztuki i to właśnie w jej szczególnym, amerykańskim wydaniu. Być może zapamiętali dobrze z lat dziecińczych „Napad na ekspres” Edwina S. Portera z 1903 r., pierwsze filmy kowbojskie z Bianco Billy’em, może wtedy właśnie w jego umyśle zaczęły kiełkować

marzenia o filmowym świecie silnych mężczyzn przebiegających na spienionych rumakach rozległe prairie lub senne miasteczka Dzikiego Zachodu?

Ale najpierw, w latach pierwszej wojny światowej, musiał usiąść za sterem wojskowego samolotu. Później był lotnikiem sportowym i zawodowym automobilistą. Wreszcie trafił do filmu. Przeszedł wszystkie szczeble rzemiosła: od rekwizytora aż po scenarzystę i asystenta reżysera. Dopiero osiągnąwszy trzydziestkę nakręcił pierwszy film. Nosił on tytuł – nomen omen – „Tine Road to Glory” ( „Droga do sławy”). Od tej pory kariera Hawksa rozwija się błyskawicznie. Kręci często po dwa a nawet po trzy filmy rocznie. Ogromnym powodzeniem cieszą się takie dzieła jak „Patrol”, „Człowiek z blizną”, „serce lotnika” lub „Droga do sławy”.

Potrafił trzymać widownię w nieustannym napięciu; jego dzieła cechował szlachetny patos, w filmach kręconych w czasie ostatniej wojny umiejętnie rozbudzał uczucia patriotyczne, chęć walki wśród milionów Amerykanów. Przypomniany niedawno przez telewizję „Sierżant York” (1941 r.) z Gary Cooperem w roli głównej przypominał epizod z I Wojny Światowej. Film miał przygotować psychicznie i uczuciowo społeczeństwo amerykańskie do spodziewanego włączenia się USA do toczącej się w Europie wojny. Razi jednak jeszcze w wielu miejscach scenariuszowymi naiwnościami i typowo „hollywoodzkimi” scenami atelierowymi. Ale powstały w dwa lata później, już po tragedii Pearl Harbour „Mściwy Jastrząb”, którego bohaterem jest tzw. latająca forteca i dzieje jej załogi walczącej z Japończykami na Filipinach – to majstersztyk filmu patriotycznego czasu wojny. Oglądałem go w 1947 r. w lubelskim kinie „Bałtyk” i do dzisiaj pamiętam dokładnie poszczególne sceny i całe sekwencje, wyłaniający się z nich obraz zaskoczenie, początkowej klęski i wreszcie ogromnego wysiłku ludzi, aby wyhamować impet uderzenia, a następnie wziąć górę nad przeciwnikiem. Z biegiem lat film stracił na świeżości – jak zresztą wiele tego rodzaju filmów kręconych pospiesznie i na określone zamówienie – a mimo to... wciąż jeszcze wspominam finał „Mściwego jastrzębia”, w którym umierającemu dowódcy samolotu wydaje się, że oto startuje do bojowego rejsu „w sam środek czerwonego japońskiego słońca”.

Nie postarzała się za to „Rzeka Czerwona”, pierwszy wielki western Hawksa nakręcony w 1949 r. Zrealizowany jeszcze na czarno-białej taśmie, w „klasycznej” szerokości kadru, oszczędny w środkach wyrazu a zarazem przepojony owym podskórnym, dynamicznym rytmem, który nie pozwala ani na chwilę osłabnąć tempu narracji, prowadzony według wszelkich kanonów klasycznego westernu. „Rzeka Czerwona” wyświetlana u nas w kinach w drugiej połowie lat sześćdziesiątych cieszyła się ogromnym powodzeniem, mimo, że mieliśmy akurat za sobą inwazję „westernu psychologicznego” czy „antwesternu” z takimi dziełami jak „W samo południe”, „15.10 do Yumy” lub „Ostatni kowboj”. Potwierdza to

jeszcze raz przeświadczenie, że naprawdę dobra, artystycznie wartościowa klasyka, nigdy się nie starzeje.

A tymczasem Howard Hawks nie przejmując się rewolucjami w łonie gatunku, kręcił kolejne westerny. W 1959 r. powstaje „Rio Bravo”, film zachowujący niemal klasyczne rygory – chociaż wzbogacony o głębokie psychologiczne motywacje – z doskonałymi kreacjami Johna Wayna, Dean Martina i ciekawą sylwetką Ricky Nelsona. Wreszcie – „El Dorado”. Chodziliśmy na te filmy tłumnie, bo – choć mistrz wywodzi się z innej epoki – były one dla nas wciąż żywe i aktualne. Może przede wszystkim dlatego, że Hawks potrafił w swoich klasycznych historiach zawrzeć niebanalną wiedzę o człowieku i wielki ładunek humanizmu.

Moda na western wyraźnie osłabia. Świat ma inne, i wiele ważniejsze problemy, które chcąc nie chcąc muszą znajdować odbicie w filmie. Natomiast we współczesnych westernie coraz więcej okropności, gwałtów, makabry. Czy wrócimy jeszcze kiedyś do prawdziwego westernu? Czy Hawks nie odszedł we właściwy mu męski sposób, po prostu w odpowiednim momencie?

Mrok rozpościera się nad westernem...

WARTO OBEJRZEĆ W KINIE:

„Niedokończony utwór na pianole” – najnowszy film jednego z najciekawszych przedstawicieli młodego radzieckiego kina, Nikity Michalkowa („Sam wśród obcych, obcy wśród swoich”, „Niewilnica miłości”) brata znanego reżysera Andrieja Michalkowa-Konczalowskiego. Udana próba nowego odczytania Czechowa. Świetna reżyseria, interesujące zdjęcia, doskonała gra aktorów. Scenariusz oparto głównie na „Platonowie” Czechowa. Grand Prix festiwalu filmowego w San Sebastian w ubiegłym roku.

„Tańczący jastrząb” – film Grzegorza Królikiewicza („Na wylot”, „Wieczne pretensje” oraz liczne filmy krótkometrażowe i widowiska telewizyjne, m.in. „Faust” i „Trzeci maja”) oparty na znanej powieści Juliana Kawalca pod tym samym tytułem. Ostro zarysowany konflikt głównego bohatera i „niekonwencjonalny” sposób narracji będą na pewno okazją do licznych dyskusji w kręgu miłośników filmu. Doskonała kreacja Franciszka Trzeciaka w roli Michała Topornego. Nagroda Główna na IV Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku w 1977 r.

PRASA FILMOWA:

Grudniowy numer miesięcznika „Kino” zamieszcza m.in. rozmowę z szefem naczelnej redakcji telewizyjnych filmów fabularnych, Januszem Gazdą i dyrektorem do spraw produkcji filmów telewizyjnych – Zygmuntem Kniazioluckim zatytułowaną „Film dla milionów”, na temat problemów telewizyjnego filmu fabularnego. Rozmówcy przedstawiają swój pogląd na

obecny stan produkcji filmów TV oraz mówią o interesujących planach na przyszłość. Tą rozmową redakcja „Kina” zapowiada cykl wypowiedzi znanych reżyserów, do których zwróciła się... „chcąc rozwinąć dyskusję na temat filmu telewizyjnego w kulturze, wymogów jakie należałoby stawiać tej twórczości, jej własnej istoty w porównaniu z twórczością dla kin(...)”.

Dnia 23.1.1978 r. Rozpoczął się w Olsztynie II festiwal filmów i widowisk telewizyjnych. W programie 57 filmów i widowisk oraz liczne imprezy towarzyszące.

Pierwodruk: „Kamena”, 1978, nr 3, s. 14.